

WYDAWNICTWA ROK XVIII

PIŁOMYK

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



DZIEWCZYŃKA.

Mal. J. Rembowski.

WARSZAWA, ŚRODA 24 STYCZNIA 1934 R.

N^o 21

DZIAŁ ROZRYWEK

SYLABOWY KWADRAT
MAGICZNY.

DA	KA	LI
LI	NA	NA
RA	RA	TE

Kwadraty z sylabami tak należy przestawić, żeby powstały trzy wyrazy, czytane jednakowo poziomo i pionowo.

Znaczenie wyrazów: 1. drzewo, krzew; 2. znak, oznaczający pewien dźwięk; 3. obradowanie nad cemb.

ZAGADKA 1.

Gdy *a* ma w środku, służy do bicia;
gdy *y* — oznacza warunki życia;
gdy *u* — na nogę zawsze się wkłada.
Zgadnijcie prędko, to moja rada.

SZARADA.

Pierwsza płynie, gdy puszczają lody,
a w drugie trzecie mleko wlewają:
wszystkie czynią ludziom duże szkody,
surowo też karane bywają.

KWADRAT MAGICZNY.

a	a	a	a	b
b	i	k	k	k
k	l	l	t	o
o	o	o	r	r
s	s	z	z	z

Znaczenie wyrazów: 1. część lampy; 2. miara papieru; 3. mała chmurka; 4. ptak; 5. zabronienie.

ZARTOBLIWE PYTANIA.

Jakie lipy rosną w morzu?

Jakie osy są we zbożu?

ZAGADKA 2.

Od *k* — ptak, który swym głosem nas budzi.
Od *ż* — polewka, jadana przez ludzi.
Od *m* — bierze się nań kamienie, cegłę.
Od *t* — zwierz, znaly go wieki ubiegłe.

ZARCIKI.

Choć mówią o nim, że spada, to że idzie w górę, on nigdy nie rusza się z miejsca, co to jest?

Jaka jest różnica między koniem a okoniem?

HUMOR.

PIĘCIOLETNI FRANEK LUBI PYTAĆ.

- Babciu, czy czarownice latają po powietrzu?
- Ależ, mój Franku, niema żadnych czarownic!
- To ja wiem, babciu, ale czy one mogą latać po powietrzu?

ROZMOWA DWÓCH BRACISZKÓW NAD MORZEM.

Starszy brat, obeznany z przyrodą, tłumaczy młodszemu:

- Duże ryby żywią się przeważnie małymi rybkami, np. sardynkami.
- Co ty mówisz! — dziwi się braciszek, — ciekawa rzecz, jak one sobie radzą, żeby otworzyć puszkę?

P Ł O M Y K

TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI I MŁODZIEŻY



Mal. A. Romerowa.

POWRÓT Z KIERMASZU W WILNIE.

KONKURSY MŁODZIEŻY.

Mała Alinka patrzyła z dumą i z podziwem na swoją starszą siostrę Zosię. Zosia miała szesnaście lat, a już była przodownicą w zespołach konkursowych. Zespoły konkursowe to takie gromadki młodzieży wiejskiej. Do siedmiu, dziewięciu chłopaków i dziewcząt bywa w takiej gromadce. A każda z takich gromadek zespołów ma jakieś zadanie rolnicze do wykonania.

A więc przedewszystkiem różne wychowy, jak: wychów kur, królików, prosiąt i t. p. a poza tem bywają konkursy na uprawę buraka, na ogórki, kwiatowe konkursy, łąkowe i t. d.

Alinka słyszała już wiele o tych konkursach.

Raz oto wpadła do nich, do chaty, jej koleżanka i zaczęła trzepać:

— Dzisiaj u nas wielka radość, Wacek otrzymał pochwałę za swego królika.

Tak sierać błyszcziała na tym króliku, jak srebro... Odrazu pomyślałam — Wacek będzie górą.

Albo znów kiedyś podbiegł do okna ich izby mały Jędrzek i zawołał:

— Alinko, powiedz Zosi, że Maciek pobił wszystkich na konkursie uprawy



buraka. Jeden burak jego ważył 14 kilo. Omal nie został królem buraczanym. Sam pan starosta mu winał, zaś pan instruktor zrobił z niego przodownika.

I duzo, duzo słyszała już mała Alinka o tych konkursach młodzieży wiejskiej. I chciała, tak bardzo chciała dopomagać swej starszej siostrze Zosi. Ale Zosia jej na to nie pozwalała. Konkursistka bowiem sama, samodzielnie powinna była wykonać swoje zadanie. Tak nakazywała instrukcja Przysposobienia Rolniczego.

Zosia od dwóch lat należała już do Przysposobienia Rolniczego.

Zapisała się do tego Przysposobienia zaraz po ukończeniu szkoły powszechnej.

A za jej przykładem zapisało się tamże trzech jej kolegów i dwie koleżanki.

Któreż jednak z tych sześciorga interesowało się najżywiej książkami rolniczymi? Zosia.

Któreż najpilniej uczęszczało na kursy? Zosia.

Któreż nie zalegało nigdy z opłatą składki członkowskiej? Zosia.

Wszystko to stwierdziła lustracja zespołu a potem inspekcja lustratora i Zosia została zamianowana przodownicą.

Ale Zosia spełniała sumiennie swoje obowiązki nietylko wobec Przysposobienia Rolniczego.

W jej młodej główce roily się marzenia o wielkich rzeczach.

Właśnie obrala sobie teraz zadanie wychowu najtłustszego, bekonowego prosiaka. I oto marzyła sobie, jak zawiezie tego bekonka do wielkiej dalekiej Warszawy, do tej cudnej stolicy Polski i ofiaruje go najstarszej córce kochanego Marszałka, Wandzie.

— Ona taka dobra myślała, tak pamięta o biednych dzieciach, trzeba też i o niej pamiętać. To się ucieszy!

Albo znów, śniło się Zosi, że był taki wielki konkurs na cały świat!

I byli tam chłopcy różni: i Czesi, i Rosjanie, i Niemcy, i Francuzi, a każdy przyjechał na takie duze pole ze swoim prosiaczkiem.

A dokola stanęło moc ludzi: generałowie, pułkownicy, gospodarze, urzędnicy i był taki pan, w takim błyszczącym kapeluszu, a tak uśmiechał się, jak ojciec prawdziwy...

A tymczasem pan instruktor kazał rozpocząć ważyć te wszystkie prosiaki: i czeskie, i rosyjskie, i niemieckie, i francuskie... i jej polskie... Zosine...

Zosi serce zabiło mocno, mocno, a potem ze wzruszenia jakby zamarło, i nagle oczom nie wierzy. Jej prosiaczek gdzieś w górze... Tłum podnosi go na rękach... I słyszy głos instruktora:

— Prosiaczek Zosi otrzymuje pierwszą nagrodę...

W tym momencie Zosia obudziła się i uśmiechnęła słodko... słodziusieńko.

Takie to sny i marzenia roily się w młodej główce wzorowej przodownicy Zosi. Napiszemy Wam jeszcze kiedy o niej!

Jan Belcikowski.

PODRÓŻ RUTY Z BŁĘKITKIEM DO ESKIMOSÓW.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia.

Zima mroźna była tego roku, ale ziemia, okryta puszystym śniegiem, spała słodko, nie obawiając się chłodu. Dnie były przepiękne, błękitne, rozjarzone słońcem, noce zaś ciche, czarne, osypane milionem gwiazd i dzwoniące od mrozu.

Ruta siedziała u palącego się na kominku ognia i, wpatrzona w wesoło trzaskające sosnowe polana, rozmyślała, jak piękne będą święta w tym roku i jak piękne wogóle są święta Bożego Narodzenia. Tak miło jest oczekiwać dnia wigilji i pierwszej gwiazdki na bladym, wieczornym niebie, a później dzielić się opłatkiem, a jeszcze później zasiąść przy



...siedziała u palącego się na kominku ognia...

ślicznie nakrytym stole, z sianem szeleszczącym pod śnieżnym obrusem i z piękną, rumianą struclą pośrodku. A wkońcu... cud nad cudami, tak dobrze znany, a przecież zawsze nowy: bujna, sięgająca sufitu choinka, jarząca się setką świeczek i błyszczących zabawek, pod którą z biciem serca, zapierającym dech w piersiach, szuka się upragnionych, wytęsknionych podarków...

W tym roku dostanie Ruta zapewne narty, o których marzyła od dawna. Widziała uśmiechnięte tajemniczo twarze mamusi i tatusia i widziała długą, ponętą paczkę, stojącą za szafą w mamusi pokoju; może jej się tak zresztą zdawało, gdyż za nic nie byłaby podeszła bliżej, aby wykraść mamusi jej tajemnicę, a sobie popsuć radość niespodzianki.

Narty! Boże, cóżby to była za radość, przypasawszy je do nóg, móc śmigać lekko, jak ptak, po gładkim śniegu.

— Cudowną jest zima — myślała dalej — i cudnym musi być kraj, w którym zima trwa długie, długie miesiące, gdzie nie grozi wciąż odwilż, lub deszcz, gdzie uganiać można swobodnie na nartach, sunąć milami na łyżwach po lodzie, lub gnać z wiatrem malutkimi sankami, zaprzężonymi w psy.

— Ach, jak miło byłoby mieszkać w takim kraju — marzyła, — lub być tam przynajmniej raz w życiu.

Ocknąwszy się ze słodkich marzeń, usłyszała naraz zegar, bijący późną godzinę. Rozebrała się więc czempredzej i, wsunąwszy się do ciepłego łóżeczka, zamknęła oczy.

Ale w tej chwili otworzyła je znowu, gdyż usłyszała lekki szelest. Myśląc, iż może mysz zakradła się do łóżka, usiadła przerażona. W skąpem świetle dogasającego na kominku ognia ujrzała siedzącą na poduszce malutką istotkę. Wyglądała ona jak wielka ważka. Błękitne skrzydełka drżały lekko, zaś jasne włosy otaczał wieniec z nieznanym, wonnym kwiatów.

— Kto jesteś? — zapytała szeptem Ruta.

— Jestem Błękitek — odpowiedział elf. — Nawiedzam czasem grzeczne dzieci, gdy mi przyjdzie ochota, zresztą bujam w promieniach słońca, lub księżycy i wędruję w przestworzach na srebrnych nitkach bąbiego lata, lub na niesionych wiatrem płatkach śniegu. Przyleciałem dziś do ciebie, miła Ruto, gdyż chcę ci zaproponować, abyś wybrała się ze mną w ciekawą podróż.

— Och, z radością polecę z tobą, dokąd zechcesz Błękitku — zawołała Ruta ucieszona, gdyż bardzo lubiła podróże, przytem niezmiernie podobał jej się śliczny elf.

— Wstań więc cichutko i ubierz się ciepło — rzekł Błękitek. — Nasze wierzchowce czekają już na dworze.

— Wierzchowce? — zapytała ciekawie Ruta.

— Tak, są to dwie ścigłe mewy, które niejedną już podróż odbyły — odparł elf.

— Ale jakże wsiądę na mewę, Błękitku, jestem przecież za duża? — dziwiła się Ruta.

— O to nic, nie troszcz się o to — odrzekł wesoło Błękitek.

Ruta narzuciła na siebie sukienkę i ciepłe futerko; wówczas elf dmuchnął na nią lekko i dziewczynka poczęła się zmniejszać, aż stała się tak malutką, jak on, poczem wyszli oboje w cichą, mroźną noc. Pod drzwiami grzebały w śniegu dwie białe mewy. Jedna z nich miała uzdeczkę z błękitnej wstążki, druga zaś z czerwonej.

Ruta z Błękitkiem wsiedli na ptaki i wznieśli się w górę.

Ach, jakaż to była piękna podróż! Zimno było, lecz noc była cudna i cicha. Elf wziął ze sobą gałązkę świerku, którą zlekka popędzał swego wierzchowca.

Ruta nie śmiała pytać o cel podróży, lecz Błękitek odezwał się sam:

— Lecimy do kraju wiecznego śniegu, gdzie mieszkają Eskimosi. Przekonasz się, jak ludzie tam żyją i jak smutne są dla nich święta Bożego Narodzenia.

Ruta nie posiadała się z radości. Tak bardzo pragnęła ujrzeć kiedyś ten kraj piękny i daleki, o którym czytała i słyszała tyle ciekawych rzeczy. Nie dalej, jak dzisiejszego wieczoru marzyła o tem, siedząc przy kominku. Kochany, dobry elf, jak szybko spełnił jej życzenie!

Lecieli nad zaśnieżoną ziemią i skutemi lodem wodami. Robiło się coraz chłodniej, miasta i wsie były coraz mniej liczne, gęste lasy rzędy i karłowaciały, niebo było coraz głębsze i czarniejsze.

Nagle — na widnokręgu ukazał się barwny promień, za nim drugi i trzeci — i wkrótce zalała niebo ruchoma gama najcudniejszego kolorowego światła, które wyglądało niesamowicie i groźnie.



...lecieli nad zaśnieżoną ziemią...

— Co to jest? — pytała Ruta w zachwycie i trwodze.

— To zorza północna. Zbliżyliśmy się do celu — odpowiedział elf.

Teraz rozpościerała się pod nimi wielka, biała przestrzeń, porośnięta tu i ówdzie karłowatymi sosenkami i brzożami. Cisza była i pustka zupełna, ani śladu człowieka i jego osiedla. Zimno było przejmujące, lecz Rucie ciepło było w miękkim pierzu mewy, zresztą czarodziejские i czarowane istoty nie odczuwają zimna tak, jak ludzie.

Wkrótce minęli ostatnie karłowate drzewa i utonęli w mroźnej, żadną ciemniejszą plamką nie przerwanej bieli. Gdzieś zdala dochodził trzask i huk, oraz niewyraźny szum.

— To morze tłucze się o zamrożony brzeg i szarpie lodową skorupę, która je pokrywa — objaśniał Błękitek. — Jesteśmy u celu.

Poczęli zniżać powoli lot i Ruta ujrzała na równej przestrzeni stepu okrągłe pagórki, wyglądające, jak wielkie, białe mrowiska.

— To są domki mieszkańców tej ziemi — mówił elf. — Prawda, jak smutną jest taka osada nad brzegiem ponurego, lodowatego morza, bez jednego drzewka wokoło? Jak posępną jest taka czarna, wieczna noc, rozświetlona tylko niesamowitym blaskiem północnej zorzy... Będziesz tu mile widzianym gościem, Ruto.

Zatrzymali się przed jedną z chat. Mewy skuliły się u ściany.

Elf zmienił Rutę w zwykłą dziewczynkę i, wzięwszy z sobą gałązkę świerku, niewidzialny dla ludzi, usiadł na jej ramieniu.

Ruta wsunęła się w wąski korytarzyk i, uniósłszy skórzanej zasłony, weszła do izby.

Dokończenie nastąpi.

WIZYTA U BABCI Z LESZNA.

Babunia ubrała się odświętnie. W nowym koronkowym ubranku, w czarnym atłasowym kaftanie z białym żabotem — babunia jest naprawdę śliczna. Toteż głośno wyrażam swój zachwyt.

— Ładna dziś jesteś, babuniu, cudna — i ściskam ją z całych sił.

— No, nie duś mnie, nie duś, cały żabot mi pognieciesz!

A w żabocie, pośrodku — broszka. Właściwie to nie broszka a fotografia dziadunia. Ale tak zrobiona, że można przypiąć.

— Babuniu, a ja mam włożyć czerwoną sukienkę?

— Poco? — Babunia udaje, że nie wie, o co idzie.

— Jakto? Przecież idziemy z wizytą.

— Skąd wiesz? Nic nie mówiłam.

— Ale ja wiem, boś się tak ubrała. Babuniu, do kogo idziemy? Do wujcia Józia? Do cioci Dosi?

— Do babci z Leszna.

— Ja też? Prawda, ja też? Babuniu złota, kochana, ja też!

Babcia z Leszna — to starsza siostra babuni. Na imię jej Dorota. Ale wszyscy mówią „babcia z Leszna”, a nie po imieniu. Jedziemy doróżką, bo Leszno — to od nas daleko. Potem długo wchodzimy po schodach. Jak babunia odpoczywa na ławeczce, ja biegnę na dół i znów wchodzę na górę, bo inaczej mi się nudzi. Nareszcie jesteśmy na trzecim piętrze.

— Jak wysoko! Jak wysoko! To nie na moje nogi — narzeka babunia.

Po chwili rozbieramy się i wchodzimy do dużego, widnego pokoju.

Babcia siedzi w wielkim fotelu.

— Jak się masz, Felciu!

— Jak się masz, duszko!

Obie babcie wycalowują się, potem moja kolej. Babcia całuje mnie w czoło, ja ją — w rękę. Rozglądam się: wszystko tak, jak zawsze. Babcia siedzi w wielkim fotelu, w białym czepku, ułożonym w rurki. Pod brodą ma kokardę. Jabym nie mogła zawsze siedzieć z podwiązaną brodą. Jak mam kapturek — to wstążka mi przeszkadza. A babcia jest zadowolona. Widać — przyzwyczaiła się. Obok, na stoliku leży książka i okulary. Bo babcia cały dzień czyta. Siedzi w fotelu i czyta. Moja babunia chodzi po całym mieszkaniu, lubi gotować, zawsze jest zajęta gospodarstwem. Ta babcia jest inna. Ta babcia ma zupełnie pomarszczone ręce i chude. Babcia z Leszna pyta się, dlaczegośmy tak dawno nie byli.

— Moja kochana, teraz nie tak łatwo się wybrać człowiekowi. Co za czasy!

Babcia z Leszna kiwa głową, aż jej się czepek zsunął.

— A jak Jadzia? Noga ją nie boli?

— Widzisz, jak dowodzi!

Teraz babcia się spyta: co słychać u Dorków, co pisze Zdzisio, jak



...trzymam świnceczkę w ręku...

się ma Florcia. Jest mi troszkę nudno. Idę do saloniku — tutaj mogę oglądać oszkloną szafkę z pięknymi talerzykami i różnymi cackami z porcelany. Najwięcej podobają mi się wielkie kubki granatowe i różowe. I koszyczek z różyczkami. Jest jeszcze piesek i świnia z dziurą w grzbiecie — taka śmieszna! Może babcia podaruje mi, jak poproszę? Potem oglądam wielki pluszowy album z fotografiami. Wszyscy tu są. Wujcio Stach, jak był mały, w krótkich spodenkach. Teraz wujcio jest siwy i nie mogę uwierzyć, że ten mały chłopczyk — to on. Ale to on na pewno. Zamykam album, siadam przy oknie. Tutaj to przynajmniej widać tramwaje i policjanta na rogu, wielką kwiaciarnię i aptekę. A u nas — tylko sklepik jest naprzeciwko i nafcarnia. Nawet policjant nie stoi. Tu jest weselej. Dużo ludzi chodzi, bo Leszno to duża ulica.

W stołowym krząta się służąca, stawia różne talerzyki i małe spodeczki.

— Aha, będą konfitury! — myślę z zadowoleniem.

Bo u babci z Leszna zawsze są konfitury z pomarańczy, różne pierniki i kruche ciasteczka. Ale dzisiaj najmniej myślę o poczęstunku. Ta świnia z dziurą w grzbiecie nie daje mi spokoju. To też po herbacie dziękuję babci za podwieczorek i całuję ją w rękę.

— Jak u babci jest ładnie — zaczynam się przymilać. — Ładnie jest w saloniku. Patrzałam z okna na ulicę. U babci jest weselej, niż u nas.

— Ja też często siedzę przy oknie — mówi babcia. — Nie wychodzę wcale z domu, to jest mój spacer.

— Babciu, jakie śliczne zabawki są w szafce!

— Widziałaś wszystko? A co ci się najwięcej podoba?

— Świnia z dziurką. Babciu, poco ta dziurka?

— To skarbonka. Podoba ci się naprawdę?

— Jeszcze jak!

Babcia dzwoni. Wchodzi służąca. Babcia czegoś szuka w kieszeni, wyjmując mały klucz: — Wyjmij, Janinko, z szafki świnę.

— Po chwili trzymam świnceczkę w ręku. Jest cała różowa, ma śmiesznie zakręcony ogonek.

Babcia wydostaje z portmonetki srebrny pieniądz i kładzie go do tej skarbonki.

— To dla ciebie — mówi. — Daruję ci tę skarbonkę.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

Z wdzięcznością całuję ręce babci. Teraz będę zbierała pieniądze!
Jadwiga Storczykówna.

Spróbujcie, Czytelnicy, przerobić powyższe opowiadanie na sztukę sceniczną, a potem napisać „Płomyki”, czy Wam się to udało i kto odegrał rolę Jadzi, jednej babci, drugiej babci i służącej.

NIEZWYKŁA PODRÓŻ.

Napisał M. Krzepkowski.

21)

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY, W KTÓRYM GINIE JANEK ZE SWYM PRZYJACIELEM NAZWISKIEM WIID.

Koło „Ewilitu” zebrała się gromadka Wenusjan. Otoczyła ona Jacka, przybranego w ubiór, jakiego używają członkowie ekspedycji ratunkowej, zapuszczającej się w głąb kopalni, w której nastąpił wybuch. Podobnie przybrał się inżynier. Obydwaj mieli wyruszyć na południe, we dwóch w towarzystwie kilku Wenusjan na wielką „wojnę” przeciw niszczycielskim owadom - potworom.

Na rzece stał już statek, zbudowany pod kierownictwem inżyniera, a będący obszerną tratwą z namiotem. Pod namiotem na specjalnym pływaku (na wypadek rozbicia się tratwy) został umieszczony jeden z dwóch niewielkich przyrządów, stanowiących siłę „Ewilitu”.

Profesor Knycz żegnał serdecznie swych przyjaciół.



...gromadka Ziemiaków żegnała swych towarzyszy.

— Nie wiem, czy dobrze czynię, pozwalając wam na tę wyprawę, miast użyć do niej „Ewilitu”. Niech się jednak dzieje wola Boga! Jacek Czyński uściskał Janka:

— A nie ukryj się gdzie w namiocie, bo w tym płaszczyku, chroniącym cię tylko od deszczu, nie przetrzymałbyś naszej wycieczki, którą niezbyt czarująco zapowiadają nasi Wenusjanie.

— Nie, teraz we wszystkim słucham pana profesora.

Jacek z inżynierem usadowili się wygodnie na tratwie wraz z trzema Wenusjanami, kilku innych krążyło nad tratwą, mając zamiar towarzyszyć jej drogą powietrzną.

Ruch drąga i tratwa zakołysała się swobodnie na nurcie rzeki.

Mała gromadka Ziemiaków żegnała, poruszając rękami, swych towarzyszy.

Wkrótce za zakrętem rzeki zniknęli im z oczu wśród przepysznej zieleni, pokrywającej brzeg pnącemi się niby powój roślinami.

Powrócili do „Ewilitu”. Doktor Burlicz zajął się swemi badaniami, panna Ewa z profesorem badaniami atmosfery i magnetyzmu Wenus. Tylko Janek spędzał beztrosko dni, oblatując w ramionach Wenusjanki Wiid okoliczne polany i góry.

Dzień mijał po dniu. Minęło dwa miesiące, a o Czyńskim i inżynierze nie było wieści. A przecież towarzyszący im Wenusjanie mieli przylatywać z wiadomościami.

Niepokój serdeczny wkraśl się do serc Ziemiaków. Obawa o ich los rosła z dnia na dzień. Nie chodziło o cenny przyrząd: ten, który pozostał, mógł wystarczyć „Ewilitowi”.

— Czyżby nieumiejętnie posłużyli się nim i zginęli? — zadawał

sobie pytanie profesor. — Ale przecież miał z niego zrobić użytek inżynier, który zna się na nim świetnie.

— Polećmy w ich kierunku „Ewilitem” — prosiła panna Ewa.

— Nie możemy, moje dziecko. Możemy właśnie przybyć w chwili działania przyrządu i wtedy „Ewilit” ulegnie zniszczeniu. Musimy czekać.

— A może prosić Wenusjan, by udali się w tym kierunku?

— Nie możemy narażać ich życia. Wiesz przecież, jak wstrząsali się, kiedy była mowa o wyprawie na południe. Ta wyprawa jest dla nich wyprawą do jakiegoś straszliwego piekła, skąd niema powrotu!

— Ale mimo to znalazło się kilku śmiałków. Może znajdują się jeszcze.

— Postaram się z nimi porozumieć — oświadczył profesor.

Ale Wenusjanie zniknęli. Przyzwyczajeni do ukrywania się w okresie najazdu Iii, pochowali się w swych labiryntach i nie przylatywali nawet oglądać „Ewilitu”, co czynili dawniej nieustannie. Jeden tylko Wiid dotrzymywał im wiernie towarzystwa, nie wypuszczając prawie z rąk Janka.

Profesor powiedział mu o swej trosce. Wiid nie odpowiedział nic.

— Dziwna rzecz — powiedział profesor do córki, — wydaje się, że są ożywieni podobnemi do ludzi uczuciami, a zupełnie nie troszczą się o tych swych towarzyszy, którzy może zginęli na południu. Prostu pochowali się, jak to czynią co trzy lata, i koniec!

— I ja to zauważyłam. A przecież musimy coś przedsięwziąć! Niestety, nie znajdowali rady.

Następnego dnia spadło na trójkę Ziemiaków nowe zmartwienie: Janek z Wiid nie zjawili się przed wieczorem w „Ewilitu”.

— Nie martwcie się, — uspakajał stroskanych doktor Burlicz. — Pewnie Wiid, dręczony tem, że dotychczas nie ukrył się wraz ze swymi towarzyszami, zabrał Janka do jakiejś grotty i siedzą w niej bezpiecznie.

— Ależ to niemożliwe! — mówiła panna Ewa. — Janek jest niezwykle posłuszny i na pewno wróciłby jak każdego dnia przed wieczorem do „Ewilitu”!

— Może zalecieli gdzie dość daleko i Wiid nie chciał ryzykować nocnego lotu z Jankiem.

— Przecież Wenusjanie doskonale się orjentują w nocy!

— A ja wam mówię, nie martwcie się przedwcześnie — twierdził doktor, sam zmartwiony nieobecnością chłopca, którego polubił.

Rozpoczęli poszukiwania — napróżno!

— Nic innego, tylko Wenusjanin go upuścił i biedny Janek może gdzie zginął w górach! Żeby zjawił się chociaż jeden Wenusjanin! — wołała panna Ewa, a w jej oczach błyszczały łzy.

Niestety, nie widzieli już od dłuższego czasu na tle zachmurzonego nieba szeroko rozpostartych różowych skrzydeł.

Minęło znów parę tygodni. Czas odlotu zbliżał się prędko. Profesor zdawał sobie sprawę, że, jeśli nie wyruszą zpowrotem na Ziemię



...koło „Ewilitu” opadł jakiś Wenusjanin.

za dwa miesiące, trzeba będzie długo czekać na odpowiednie zbliżenie Ziemi, by na nią wyruszyć. Ale profesor Knych postanowił, że nie wyruszą, dopóki nie znajdą przynajmniej szczątków tych, którzy im towarzyszyli.

— Tak, tak, ojciec — popierała gorąco tę myśl panna Ewa. — Całe życie dręczyłabym się, że oni zostali na Wenus, że błądzą po niej samotni i tęsknią do Ziemi. Nie, nie możemy wyruszyć, dopóki ich nie odnajdziemy!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY, W KTÓRYM REPORTER I INŻYNIER MÓWIĄ OD RZECZY, A JANEK JEST DZIELNYM CHŁOPCEM.

Pewnego wyjątkowo pogodnego dnia koło „Ewilitu” opadł jakiś Wenusjanin. Wołał lii! i czynił rękami niezrozumiałe dla Ziemiaków znaki.

Doktor Burlicz, który właśnie stał przed „Ewilitem”, przeraził się: — Profesorze! Jest Wenusjanin, który woła, że lecą lii! A więc zginęli nasi przyjaciele!

Na głos doktora w otwartych drzwiach „Ewilitu” ukazał się profesor i jego córka.

Panna Ewa wpatrzyła się zapłakanymi oczami w gońca śmierci i klęski. Ale w miarę, jak przyglądała mu się, twarz jej pogodniała. Zawołała wreszcie:

— Ależ on mówi co innego! Oświadcz, że lii już nie przylecą!

Teraz dopiero po bacznej wstuchaniu się w dźwięki Wenusjanina i przyjrzeniu się jego żywym ruchom zrozumieli, że przyniósł on wieść radosną:

— lii nie przeleciały, a więc inżynier z Czyńskim dokonali zamierzonego dzieła! Zatem żyją?

Kiedy tak stali przed Wenusjaninem, który nie przestawał żywo

gestykulować, na niebie na tle szarych chmur ukazała się różowa chmura: to wielka chmara Wenusjan leciała do Ziemi.

Kiedy opadli na Ziemię, panna Ewa zobaczyła małą figurkę, toczącą się pośpiesznie ku „Ewilitowi”:

— Janek! — krzyknęła radośnie i pobiegła ku niemu.

A wtedy z pośród różowej masy ciał Wenusjan ukazali się inżynier i Czyński. Panna Ewa stanęła zdumiona: jakże okropnie wyglądali!

Słaniali się na nogach, prawie nadzy, wychudli, zarosnięci, o oczach połyskujących gorączką. Uszli parę kroków i inżynier pierwszy upadł na ziemię. Czyński stał jeszcze, chwiejąc się, doczekał się chwili, kiedy panna Ewa zbliżyła się ku niemu i upadł również.

— Doktorze! — zawołała przerażona panna Ewa. — Prędeż, niech pan ratuje ich!

Janek tymczasem przypadł do niej i objął ją w pól, tuląc twarz do jej sukienki.

Nachyliła się, by go ucałować, a wtedy szepnęła jej do ucha:

— Niech pani poprosi pana profesora, żeby się na mnie nie gniewał, ale ja poleciałem z Wiid szukać pana Jacka i pana inżyniera!

— I znalazłeś ich?

— Nie, to Wiid ich znalazł.

— Jakże to było, opowiadaj prędko!

— Kiedy pan profesor powiedział Wiidowi, że trzebaby szukać pana Jacka i pana inżyniera, to Wiid mi powiedział, że musi lecieć, a ja mam zostać. Ja nie chciałem, bo on przecież nie wie dobrze, czego potrzeba ludziom. Więc zabrałem tę małą apteczkę, taką leciutką, bo wiedziałem, że to może być potrzebne, i poleciliśmy.

Wiidowi było bardzo ciężko. Musieliśmy często odpoczywać. A baliśmy się jeszcze lii, bo Wiid mówił, że mogą lada chwila nadlecieć. Więc lecieliśmy bardzo niziutko, żeby móc się zaraz schować. Ale lii nie było nigdzie. Potem były takie straszne lasy, jakich nigdy nawet na obrazkach nie widziałem! Obydwaj bardzo się baliśmy. Lecieliśmy ciągle nad rzeką i patrzyliśmy, czy gdzie nie zobaczymy pana Jacka. Ale nigdzie nie było widać.

Dopiero po wielu nocach przylecieliśmy do jakiegoś dziwnego miejsca. Naokoło nie było nic, tylko pusta ziemia, a na niej wiele, wiele nieżywych samolotów. To były lii, tak mi powiedział Wiid. Ale nigdzie nie było pana Jacka. Poleciliśmy zpowrotem. Płakałem bardzo o pana Jacka, bo go bardzo lubię. Aż raz zobaczyłem coś na rzece. Powiedzieliśmy Wiidowi. Zaraz opadliśmy. To był ten namiot, który pan inżynier zbudował na tratwie. Potem znaleźliśmy tratwę, potem jeszcze rozmaite rzeczy pana Jacka i pana inżyniera. I wreszcie na brzegu pana Jacka i pana inżyniera. Leżeli na brzegu, a po nich chodziły takie obrzydliwe robaki! Nie mogłem zupełnie rozmówić się ani z panem Jackiem, ani z panem inżynierem, bo mówili zupełnie od rzeczy!

Wiid poleciał po namiot, który znaleźliśmy, i tak jakoś urządził się w lesie, na brzegu. Potem Wiid poleciał po Wenusjan, a ja zo-



...wiele, wiele niezwywych samolotów...

stałem. Bałem się w tym obrzydliwym lesie. A najbardziej brzydziłem się tych robaków, które ciągle musiałem odpędzać. I z nikim nie mogłem rozmawiać, bo oni ciągle mówili od rzeczy. Najwięcej pan Jacek, a pan inżynier, myślałem, że umarł, bo już nic nie mówił, tylko leżał i nawet nie poruszał się. Ale wreszcie Wiid przyleciał a z nim przyleciało bardzo dużo Wenusjan. Zabrali nas wszystkich, a panu Jackowi dali jeść jakieś kwiaty i panu inżynierowi. I zrobiło im się lepiej, już nie mówili od rzeczy, a pan inżynier zaczął się poruszać.

Panna Ewa w milczeniu uściśniła dzielnego chłopca.

Dokończenie nastąpi.

I PRAWDA I BAJKA.

Baśń wierszowana w trzech aktach.

Napisata Zofja Koskowa.

Scena 12.

W KRAINIE BAŚNI.

(Muzyka zaczyna grać, kurtyna się podnosi. W lesie, na wzniesieniu siedzi Bajka, która, jak w akcie 2-im, wyłania się z wielkiej księgi. Obok Bajki stoją, tworząc żywy obraz: Śnieżka, Lalka, Pajac, Kot w butach, Czerwony Kapturek z wilkiem, Lalka-Krakowianka, Myszka Polna, Myszka-Miki, Wiewiórka. Wchodzi Hania, prowadzona przez dwa krasnoludki).

- I. Taniec MIKI.
- II. „ SNIEŻKI.
- III. „ PAJACA.
- IV. „ LALKI.

- V. Taniec KOTA W BUTACH.
- VI. „ MYSZKI POLNEJ.
- VII. „ LALKI-KRAKOWIANKI.

(Następnie wszyscy łączą się w pary i tańczą poloneza; HANIA z MISIEM w pierwszą parę. W pewnej chwili HANIA z MISIEM odłącza się i staje z boku sceny, przy niej MIŚ. Pozostali tańczą. HANIA mówi):

HANIA.

Jacy tutaj wszyscy mili,
jak tu dobrze i przyjemnie,
lecz nie mogą ani chwili
dłużej w domu być beze mnie.
A więc żegnaj, świecie czaru,
bajki, pieśni, śmiechu, gwaru!



PAJAC.

Choć mi tutaj wszyscy radzi,
i choć zostać nikt nie broni,
lecz do mamy muszę śpieszyć,
bo mi bardzo tęskno do niej.
(HANIA wychodzi, wszyscy tańczą.
kurtyna spada).

AKT III.

Scena 1.
OJCIEC i HANIA.

Las. Koło pnia drzewa siedzi skulona
HANIA i śpi. Nad nią w głębi czuwa
ANIOŁ. Z głębi lasu idzie OJCIEC,
niesie choinkę i święteczne sprawunki).

OJCIEC.

Już dom blisko. Tuż za rzeką.



KOT W BUTACH.

Jakże chwili tej czekałem!
Dzięki Bogu, niedaleko.
Tęsknię do nich sercem całym;
dawno już nie byłem w domu.
Aby tylko zdrowi byli.
Gdy zobaczą mnie na progu,
bardzo będą się cieszyli.
Któż to tutaj śpi po nocy?
Nie do wiary! Czyż to Hanka?
Bóg mnie zesłał do pomocy!

HANIA.

To dopiero niespodzianka!
Więc wróciłeś zdrów i żywy!
Wysłuchane prośby moje!
Mama droga się ucieszy,
gdy wrócimy obydwójce.
Jakże witać nas pośpieszy!



LALKA.

Czy też drogę odnajdziemy
w tej okropnej drzew gestwinie,
czy do domu zająć zdążymy,
zanim święta noc przemienie?
(Odchodzą, za nimi idzie ANIOŁ, błogostawiąc).

(Kurtyna spada).

Scena 2.

(W DOMU).

(Żywy obraz: mała JÓZIA śpi na ziemi koło komina. Nad kominem wisi wypchana pończoszka. Przy stole siedzą rodzice i pozostałe dzieci. Na stole jedzenie, obok choinka. Lampa widno się pali. ANIOŁ stoi za nimi i błogostawi. Muzyka gra kolendę).

Objaśnienia podamy w następnym numerze.

Dokończenie nastąpi.



PAMIĘTNIK CHINKI

21)

Spisana Ebrem.

„Praca” nad stopami Atoi odbywała się w altance ogrodowej, do której podchodziliśmy nieraz gromadką, ze zgrozą i litością słuchając jej jęków i krzyków. Po skończonej robocie, wynoszono ją czasem na dwór i układano na materacu, w cieniu drzew, aby świeże powietrze ochłodziło trochę męczącą ją nieraz gorączkę. Wówczas otaczaliśmy ją, próbując zabawić, ale najczęściej była tak pochłonięta cierpieniem, że mało co zwracało jej uwagę.

Najmłodsza z dzieci Kora była żywą i wesołą dziewczynką. Jakkolwiek okaleczanie nóg zaczyna się zazwyczaj już w 6-tym roku życia, opóźniono cokolwiek dla niej tę porę, ze względu na przebyte we wczesnym dzieciństwie choroby, które uczyniły ją jakoby mniej odporną na cierpienie. Mogła więc swobodnie, z bratem i ze mną biegać po ogrodzie, wystrzygać latawce, albo innym sposobem się zabawiać. Czasami, rzadka, przyłączał się do nas Kienfung, ale nie sprawiało nam to przyjemności z powodu jego pychy i lekceważenia, jakie nam okazywał. Domowe panie usiłowały wzbudzić w siostrach szacunek dla niego, jako dla mężczyzny i przyszłego uczonego. Okazywały mu go nawet same, niemniej przeto zarozumiałość chłopca odstręczała od niego.

Nie był zarozumiałym Hao i jego z pomiędzy dzieci najbardziej lubiłam, ile że mi także okazywał dużo przywiązania. Był to mój równoleciek, ale mały mój wzrost sprawiał wówczas, że brano mnie za młodszą, niż byłam. Hao nie pragnął zostać mandarynem, tylko kupcem, jak i jego ojciec. Opowiadał nieraz mnie i siostrzyczce, jakie zdobędzie bogactwa i jak ich użyje. Mówił mi także nieraz:

— Bardzo cię kocham, Aklute! Jak dorosnę, to ożenię się z tobą.

— Jakże się ożenisz — zauważyła raz Kora, — kiedy ona nie będzie miała „złotych lilij”?

Hao zafrasował się.

— To prawda — rzekł. — Ale może jeszcze będzie je miała?

— To trzeba chyba zaraz zabrać się do tego — mówiła poważnie małeńka, — bo ona mało co młodsza od Atoi i potem może być za późno.

— Możliwe poprosić te kobiety, które pracują nad Atoją — rzekł Hao. — Jak myślisz, Aklute? Taka jesteś ładna! Gdybyś jeszcze miała takie nogi, jak się należy, mogłabyś doskonale być wielką panią.

— Kiedy to bardzo boli! — szepnęłam.

— To co z tego, że boli — rzekła z przejęciem Kora, — kiedy bez

tego wygląda się zawsze na kobietę z gminu! I mnie to przecież czeka. Trudno! jak trzeba, to trzeba!

— Gdybyś mnie kochała Aklute, tobyś się zgodziła — mówił przekonująco Hao. — Bo przecież bez tego nie mogłabyś zostać moją żoną.

— Ale jak nie będę mogła chodzić, to jakże w przyszłości zarobię na utrzymanie matki? — zapytałam. Rozumiałam wprawdzie, jak piękną i zaszczytną rzeczą jest posiadać „złote lilje”, niemniej przeto, możliwość tych cierpień, których dotychczas dla siebie nie przewidywałam, budziła we mnie instynktowną obawę.

— Przecież jak ja się z tobą ożenię, to Atkaja będzie z nami mieszkala — mówił Hao. — A ponieważ ja będę bardzo bogaty, to i wy obie będziecie opływać we wszystko. Zgódź się tylko na „złote lilje, Aklute, jak mnie kochasz!

— Więc dobrze — rzekłam po namyśle, — zgodzę się, ale dopiero jak twój ojciec kupi mnie od matki, na przyszłą żonę dla ciebie.

— Zaraz go poproszę! — zawołał Hao.

Pobiegł do ojca, a Kora i ja oczekiwałyśmy niecierpliwie, żeby nam przyniósł dobrą wiadomość. Jednak, po pewnym czasie, Hao powrócił z nosem na kwintę.

— Ojciec powiedział, żebym mu nie zwracał głowy, że sam dla mnie pomyśli o żonie, kiedy przyjdzie czas, jak zwykle bywa, a teraz żebym raczej zajmował się nauką. Ale ja; wszystko jedno, ożenię się kiedyś z tobą, Aklute!

— W takim razie nóg przerabiać nie warto — odparłam. — Jeśli kiedy do czegoś przyjdzie, to zrobi się wtedy, co się da, a teraz, do zabawy z wami lepiej mi zachować nogi duże.

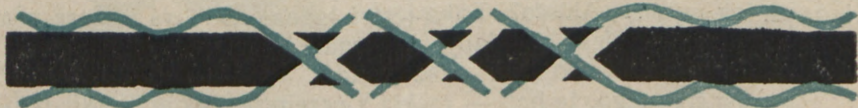
— To prawda — przyznali oboje, chociaż Hao przytem westchnął i z widoczną troską rzucił spojrzenie na moje stopy.

— Jednak wiesz co, Aklute? Mogłabyś sobie przynajmniej wyhodować takie długie, długie paznogie, jak mama ma u lewej ręki! A ja bym ci kupił na nie złote napastrki, jak panie noszą.

— Toby także zanadto było niewygodne do posługi i do zabawy — odpowiedziałam, chociaż piękne złote napastrki wydały mi się rzeczą bardzo pożądaną. Ale wiedziałam, że Hao nie posiada na nie pieniądze..

— Paznogie rosną prędko; mam czas na nie — dodałam.

Dalszy ciąg nastąpi.





DOBOSZ.

Mal. Leopold Gottlieb.

Z Wystawy Obrazów Legionistów w Warszawie.



CIEKAWA LICZBA.

Pewien człowiek zwrócił uwagę na ciekawy fakt, że jeżeli mnożymy liczbę 142.857 kolejno przez dwa, trzy, cztery, pięć, sześć, to otrzymujemy szereg liczb, z których każda składa się z tych samych sześciu cyfr, a mianowicie:

1, 2, 4, 5, 7, 8,

tylko za każdym razem w innym układzie. Przypatrzcie się i porównajcie sami: Mamy więc najprzód, jako pierwszą liczbę 142 857

Dwa razy 142 857 285 714

Trzy razy 142 857 428 571

Cztery razy 142 857 571 428

Pięć razy 142 857 714 285

Sześć razy 142 857 857 142

Zwróćcie jeszcze uwagę, że ta ostatnia liczba, otrzymana z pomnożenia naszej początkowej liczby przez 6, jeżeli ją rozdzielimy na dwie części: trzy pierwsze cyfry, trzy drugie cyfry, i te dwie części przestawimy naodwrot, da początkową liczbę: 142 857.

Prawda, jakie to dziwne? Może kto z Was zauważył coś podobnego na innych liczbach, to niech nam o tem napisze.

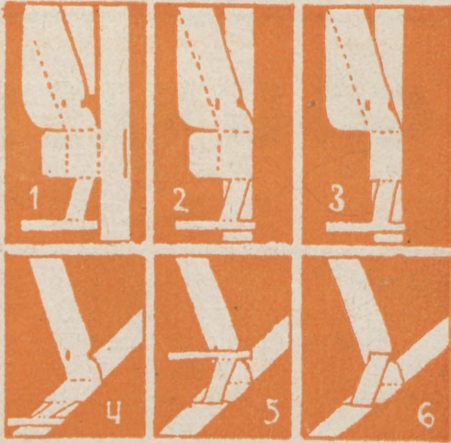
NARCIARZ.

Jedną stronę okładki zużytego zeszytu składamy we dwoje i przenosimy na papier sylwetkę A w ten sposób, aby lewa krawędź tej sylwetki wypadła na grzbiecie złożonego papieru; wycinamy równiutko nożyczkami, odrzucając to, co na wykresie ciemne. Wszystkie linie ciągłe, które się znajdują wewnątrz sylwetki, przecinamy; linje przerywane oznaczają załamania papieru, a więc muszą pozostać nietknięte. Po rozchyleniu obydwóch stron wycinanki otrzymamy sylwetkę symetryczną, która, po dokonaniu odpowiednich zagięć i załamań, okaże się narciarzem.

Najważniejszym jest umocowanie nart przy nogach, aby figurka narciarza mogła samodzielnie stać, a nawet posuwać się wzdłuż pochyłości. Rysunki 1, 2, 3, 4, 5 i 6, na których jest zmniejszenie najważniejszej części sylwetki (narta i część nogi), ułatwią nam to zadanie.

Nartę **g** załamujemy wzdłuż punktowanej linii tak, aby się znalazła pod płaszczyzną **f** (rys. 2); to samo robimy następnie z wycinkiem **e** (rys. 3), wsuwając go przytem w szparę **x — x**. Kłapkę **k** przeginamy pod prostym kątem do płaszczyzny nogi (na rys. 10 płaszczyzna ta jest zakreskowana), poczem przeginamy nartę wzdłuż przerywanej linii, która jest nad literą **f**; w ten sposób narta znajdzie się w płaszczyźnie poziomej, a noga — w płaszczyźnie pionowej (rys. 4); teraz przeginamy równoległobok **h** wzdłuż przerywanej linii, która się znajduje pod literą **f** (rys. 5) i, wreszcie, pasek **i** z jednej strony wpuszczamy w otwór **y** i załamujemy obydwie końce paska dokoła nogi. Zostaje tylko odchylić krążki **e** (rys. 7), zapiąć pasek **b** (rys. 8 i 9), założyć i przegiąć szalik **a**, według gustu (dla umocowania szalika służą szparki **z**). Narciarz gotowy (rys. 10). Będzie zjeżdżał doskonale! Zróbcie sobie taką zabawkę!

Czesław Kaczmarczyk.



800

NARCIARZ.

CO U NAS SŁYCHAC?

KOCHANY „PŁOMYKU”!

Do szkoły naszej prowadzi piękna, ale niewybrukowana aleja, a za aleją jest zakręt. Na tym zakręcie w czasie deszczów jest wielkie błoto. Uczennice, idąc do szkoły, grzęzną w błocie, niszczą obuwie i noszą dużo błota do klasy. Pani Kierowniczka przyszła do nas, jako najstarszych, radzić z nami, co zrobić. Była to trudna kwestja! Pieniądzy dla brukarzy nie posiadamy. Różne projekty nasuwały się nam do głów: nareszcie błysnęła nam myśl, na którą się wszystkie zgodziły.

Na drogach leżą kamienie, o które ludzie zbijają sobie nogi. Pocóż mają przeszkadzać? Dalej... koło rzeki też leżą kamienie, które nikomu do użytku nie są potrzebne. Poprzynosiłyśmy kosze, wiadra, wózki i znosiłyśmy je. Było tam trochę złości, śmiechu, ale każda twarz zadowolona i uśmiechnięta ze swego dzieła.

Gdy rodzice zobaczyli naszą pracę, pomogli nam i przysłali kamieni i piasku. Serdecznie podziękowałyśmy rodzicom za pomoc. Zabrząkiły łopaty i po kilku dniach miłej pracy usypałyśmy ścieżkę. Teraz nie boimy się deszczów. Jesteśmy zadowolone z naszej pracy. Pokazałyśmy, że i my coś umiemy zrobić bez pieniędzy.

Kończąc swój list, przesyłamy Ci, kochany „Płomyku”, moc pozdrowień.

Uczennice kl. VI-tej szk. Nr. 2 w Opatowie.



UCZENICE KL. VI-*ej* SZKOŁY POWSZECHNEJ Nr. 2
W OPATOWIE KIELECKIM PRZY BRUKOWANIU ŚCIEŻKI
DO SZKOŁY.

UCZ SIĘ JĘZYKA ESPERANTO!

LEKCJA XII.

DE, AL. — ID.

Czy pamiętacie Lekcję 9-tą pod tytułem: „Kto-co? kogo-co?” — i różnicę między przypadkiem 1-szym a 4-tym (O, ON)? Jeżeli nie, to zajrzyjcie do niej i przypomnijcie sobie. A teraz nauczymy się, jak się w Esp. tworzy 2-gi i 3-ci przypadek czyli tak zwany Dopełniacz i Celownik. Po polsku:

	P y t a m y:	O d p o w i a d a m y:
1	przypadek: Kto—co?	ojciec — ławka
2	„ Kogo—czego?	ojca — ławki
3	„ Komu—czemu?	ojcu — ławce
4	„ Kogo—co?	ojca — ławkę

Po esperancku tosamó:

	P y t a m y:	O d p o w i a d a m y:
1.	Kiu—kio?	la patro — la benko
2.	De kiu, de kio?	de la patro — de la benko
3.	Al kiu, al kio?	al la patro. — al la benko
4.	kion, kion?	la patron — la benkon

Już z tego widzicie, że polski drugi i trzeci przypadek tworzy się w Esp. za pomocą słówek „de” i „al”. Są to tak zwane „przyimki” i znaczą dosłownie „od” i „do”. Przeróbmy więc.

ĆWICZENIE: 1) *Kio ĝi estas? Co to jest?* 2) *Ĝi estas ĉevalo — To jest koń.* 3) *Kaj tio? — A to?* 4) *Ĉevalino — kobyła.* 5) *Kaj tio? — A to?* 6) *Ĉevalido — Żrebię.* 7) *Kio do estas ĉevalido? — Czemu więc jest żrebię?* 8) *Ĉevalido estas ido de ĉevalo — Żrebię jest potomstwem konia.* 9) *Al kiu vi donas panon? — Komu dajesz chleba?* 10) *Al birdido — Pisklęciu.* 11) *Kio estas birdido? — Czemu jest pisklę?* 12) *Birdido estas ido de birdo. — Pisklę jest potomstwem ptaka.*

Z powyższych zdań dowiedzieliśmy się też mimochodem, że wszelkie potomstwo oznacza się przyrostkiem „ido” podobnie jak rodzaj żeński oznacza się przyrostkiem „ino”. Hundó — pies, hundido — szczenię, bovo — byk, bovino — krowa, bovido — cielę. Prawda, że to łatwe?

Wkładkę do niniejszego numeru „Płomyka” stanowią „Listy od redakcji”.

WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1933/34:

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie № 35 (wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska 18. Nr. telefonu administracji 5.22-18, redakcji 5.38-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót. Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI. Redaktorka—HELENA RADWANOWA. Kierownik artystyczny—MICHAŁ BYLINA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.

PROMYK



ZMARTWIENIE.